

WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



CHRYSTUS PRZEWODNIKIEM.

Czy był sierotą i nie miał nikogo,
Coby go powiodł prawą życia drogą?
Czy go Anioły odstąpiły Boże,
Iż w wiosnie życia zaszedł na bezdroże,

Iż się zabłąkał oto w pełne grozy
Dzikiem, jałowym, skalistym wąwozu,
Gdzie straszno, mroczno, i pusto, i głucho,
Gdzie go niczyje nie dosłyszysz ucho,
Niczyje oko nigdy nie zobaczy,
I chyba zginie z głodu i rozpaczny!...

Nie, Bogu dzięki! młodzian ten nie zginie,
Bo nie przez obłąd zabrął w tę pustynię,
Bo okolica ta, smutna, złowroga,
To nie bezdroże dla niego, lecz droga,
Droga, wiodąca do pięknego celu,
Po jakiej kroczyć musi bardzo wielu
Z tych, co najlepszych nieraz pełni chęci,
Miłością cnoty i nauki zdjęci,
Ale na żywot skazani sierocy,
Bez żadnej rady, opieki, pomocy,
O własnych siłach walczą z przeszkodami,
Jak w puszczy dzikiej, sami, zawsze sami!
Ale jeżeli serca ich goreją
Miłością Bożą, wiarą i nadzieją,
To na tej drodze, co zgrozą przenika,
W samym Chrystusie znajdą przewodnika,
I dążąc w stronę przezeń wskazywaną,
U celu swego niezawodnie staną.

Ot jak w obrazku naszym to pacholę,
Co w przepaścistym wpośród skał wądole,
Krok przy swym Zbawcy stawiając ochoczy,
Z zachwytem patrzy w święte Jego oczy,
I ufne Jego pomocy, obronie,
Jak w modłach składa z dziękczynieniem dłonie.
I oto już mu w te mroczne urwiska
Niebios pogodnych światło się przeciska,
Już się tu owdzie zjawia kwiatek mały
I źródło rzeźwiący sączy się ze skały...
Małuczko jeszcze, jeszcze staj niewiele,
A gładka droga przed nim się rozściele,
I poprzez kwietne łąki, pełne łany
Da mu osiągnąć cel, zbożnie obrany.

Więc z Bogiem, z Bogiem, kochana młodzieży,
Przez te urwiska, którymi się jeży
Droga żywota, a zawsze i wszędzie
Pan Jezus waszym przewodnikiem będzie.

Nie w swej osobie, lecz w nauce swojej,
Którą nas święta religia poi,
W której On żywy, wszechobecny zawsze,
Daje nam mężnie trudy znieść najkrwawsze,
I z najstraszniejszej wydzwiga nas toni,
Ale kto od niej, ten od Niego stroni;
Ten na najgładszej drodze zbłądzi snadnie,
Pójdzie na oślep w świat i w przepaść padnie.

Adam Pług.

GWIAZDY I METEORY

przez

St. Kramsztyka.

W pogodną, bezksiężycową noc wybiega młody chłopiec z pod słomianej strzechy i zdziwiony staje na widok nieba, iskrzącego tysiącem gwiazd, co tak osobliwie migocą, jakby mrugały do niego. Światelka te zaciekawiają dziecko, budzą w niem pragnienie wiedzy; radeby je poznać, przyrzec się im zbliżka:

„Gwiazdko złota na błękiecie,
„Zejdź tu do mnie, moje życie.“

I jakby posłuszna wezwaniu dziecka, odrywa się złota gwiazdka od firmamentu, bieży, spada; dziecię wyciąga ku niej ramiona, — już, już ma ją schwytać, wtem gwiazdka nienie, ginie, w otchłani nocnej przepada.

Zasnucony stoi chłopiec; żal mu gwiazdki, która mu się wymknęła; szkoda gwiazd, które się od nieba odrywają i giną. Kiedyś, kiedyś zabraknie może zupełnie już gwiazd na sklepieniu, a widokiem wspaniałego nieba ludzie radować się już nie będą.

Nie martw się chłopcze. Światelko, które przed wzrokiem twym przemknęło, nie jest bynajmniej gwiazdą od nieba odpadłą. — jest to drobiazg zaledwie, iskierka mała meteor, który się w powietrzu rozżarzył.

Gwiazdy, które na niebie jaśnieją, są to bryły potężne, olbrzymie, w niesłychanych, w niepojętych prawie od nas odległościach rozrzucone, które świecą tak, jak świeci słońce nasze. Jedne są bliżej, inne dalej, ale i najbliższa nawet gwiazda jest w takim od nas oddaleniu, że promień światła, który od niej wybiega, dochodzi do nas zaledwie po upływie $3\frac{1}{2}$ lat. Patrzmy na nią, ale widzimy ją taką, jaką była przed trzema laty; gdyby w tej chwili nagle zgasła, widzielibyśmy ją długo jeszcze na niebie, ostatni bowiem jej promień doszedłby do nas dopiero po upływie $3\frac{1}{2}$ lat. A jednak światło jest szybkim gońcem, bo w ciągu jednej sekundy, przebiega 42,000 mil geograficznych, czyli 300,000 kilometrów. Ktoby tak prędko biedz zdołał, obiegłby równik ziemski dokoła siedem razy w ciągu sekundy. Chciałbyś może wiedzieć dokładnie, ile mil wynosi odległość tej gwiazdy, ale ci tego nie powiem; sam to obliczyć potrafisz. Przeciąg czasu $3\frac{1}{2}$ lat zamień na sekundy i przez tę liczbę pomnóż 42,000 mil a otrzymasz odległość szukaną. Jeżeli nie zechcesz łatwego tego mnożenia wykonać, to w każdym razie pojmujesz, jak wielki ztąd wypadnie iloczyn. Choćby do gwiazdy tej poprowadzona była droga żelazna, podróż pociągiem pospiesznym trwałaby całe miliony lat. Ale jest to gwiazda najbliższa, od innych by światło do nas doszło, potrzebuje dziesiątek, setek, tysięcy lat może.

Jaką drogą zdołali astronomowie tak wielką odległość ocenić i zmierzyć, tego w tej chwili opowiadać nie będę, wygadałoby to wyjaśnienie zbyt długich; ale wyobraźmy sobie, że moc jakaś niepojęta przeniosła słońce nasze na odległość choćby najbliższej gwiazdy, a wniesiemy łatwo, że z oddale-

nia tego wspauiała bryła słoneczna świeciłaby nam już zaledwie, jako gwiazda drobniutka, ciepła promieni jego jużbyśwy zgoła nie uczuli.

Porównanie to prowadzi nas wprost do odpowiedzi na pytanie, czem są gwiazdy. Są to słońca, do naszego słońca podobne, ale miliony i biliony razy bardziej oddalone, tak samo, jak i słońce nasze jest gwiazdą, ale która nam zbliżka świeci.

Nie wszystkie gwiazdy jednak blask mają, — jaśniejsze są to słońca większe może od słońca naszego, albo też może dla tego tylko silniej nam błyszczą, że znajdują się bliżej nas, aniżeli gwiazdy słabsze. Spoglądając na niebo, sądzić jesteś gotów, że gwiazd jest bez liku, w samej rzeczy wszakże naliczyć ich można tylko sześć tysięcy. Ukażą ci się dopiero w ilości nieprzeliczonej, gdy niebo przez lunetę rozpatrywać będziesz. Znasz smugę jasną, która przez niebo całe pasem się ciągnie i błyszczący podczas nocy bezksiężycowych, drogą mleczną zwana. Lunety nie posiadasz, ale masz może dobrą lornetkę teatralną; zwróć ją więc ku niebu, w stronę drogi mlecznej, a dostarżesz że jednolita na pozór ta smuga błyszcząca jest zbiorowiskiem gwiazdek, których oko nasze bez pomocy szkiele oddzielnie rozróżniać nie jest w mocy. Przez potężne swe teleskopy setki milionów gwiazd widzą astronomowie. Niebo jest jakby niemi gęsto usiane. Każda taka gwiazda jest słońcem, a dokoła niej krążą może planety, bryły naszej ziemi odpowiadające, które ona światłem i ciepłem swem darzy; ale planet tych nie znamy już zgoła, podobnie, jak przypuszczalni mieszkańcy ziem tych dalekich o istnieniu ziemi naszej nic zgoła nie wiedzą.

Od tych gwiazd dalekich, od tych słońc olbrzymich odrębne są zgoła światelka, które często, każdej prawie nocy, niekiedy obficie nawet ponad nami przebiegają, a które gwiazdami spadającymi nazywamy. Są to drobiazgi tak nikłe, że względem ziemi daleko są jeszcze mniejsze, aniżeli ziemia w porównaniu ze słońcem i gwiazdami. Jest ich moc niezmierna i rojami całymi krążą dokoła słońca, choć drogi ich są bardziej wydłużone, aniżeli droga, po której ziemia się toczy. W ciągłej wędrówce swej dokoła słońca spotyka się więc ziemia nasza z niemi często, a wtedy ulegają jej przyciąganiu, wytrącają się ze swej drogi, zbliżają się ku nam, wdzierają do atmosfery naszej. Drobne te okrucy są to bryłki ciemne, zimne, i podobnie jak ziemia nie świecą bynajmniej, rozżarzają się dopiero i rozpalają, gdy się do atmosfery naszej dostają, a to w skutek tarcia, jak rozgrzewa się linia drewniana, którą chłopiec swawolny o ławkę pociera, by nią towarzysza sparzyć. Co się dzieje z rozpalonym tym meteor, trudno powiedzieć; może przebiega tylko przez górne warstwy atmosfery naszej i znów w przestrzeń swiatową wybiega; może ściera się na pył i z atmosferą naszą miesza. Bywają meteory i większe, zwane kulami ognistymi lub bolidami; czasami wydają się nam jak księżyc wielkie, ciągną za sobą smugę ogoniastą i z szumem przez powietrze biegną. Niekiedy zaś z łoskotem rozbijają się w powietrzu i spadają rzeczywiście na ziemię, jako wielkie głazy, bryły żelaza, ważące setki funtów, albo też w postaci bryłek drobnych, które zasypują pewną przestrzeń ziemi istnym deszczem kamienistym, a takie głazy nazywamy aerolitami. O kamieniach spadających z nieba opowiadały dawno legendy ludowe, ale uczeni powieściom tym nie wierzyli i dopiero przed stu laty przekonali się, że w baśniach tych tkwiły spostrzeżenia rzetelne.

W naszym kraju obfity spadek drobnych aerolitów miał miejsce przed niewielu laty, dnia 30 stycznia 1868 roku, pod Pułtuskim.

O wszystkich tych meteorach, o gwiazdach spadających, o holidach i aerolitach, możnaby jeszcze dużo mówić, ale obecnie pragnęłam tylko wyjaśnić, że gwiazdy spadające, choć je gwiazdami nazywamy, bynajmniej nie są gwiazdami.



W pustyniach Australii.

PRZEZ

Władysława Umińskiego.

I.

ZAGINIONA WYPRAWA.

Doktor Halm, nie zwracając uwagi na palące promienie australskiego słońca, które wdzierały się na werendę poprzez kolczaste gałęzie otaczających dom akacyi, pracował niezmordowanie od samego rana; od czasu do czasu ocierał czerwoną chustką spocone czoło, poczem delikatnie wyjmował szczypczykami ze słoika owada, oglądał go troskliwie, przekłówał cienką stalową szpilką i drżącymi ze wzruszenia rękami, wyprostowywał mu nóżki, zmięte skrzydełka i wąsiki, poczem umieszczał w drewnianym pudełku, wraz z karteczką, na której były drobniutko wypisane wszystkie okoliczności, towarzyszące schwytaniu danego egzemplarza.

Na jego chudej, pożółkłej i pokrytej przedwczesnymi zmarszczkami twarzy, malowało się żywe zadowolenie; niebieskie oczy, osłonięte ostremi szklami okularów, spoczywających na cienkim nosie, co chwila zatrzymywały się z upodobaniem na lśniących chrząszczach, krasnoskrzydłych motylach i dziwnych żukach, zapelniających pudło. Wszystkie te okazy szanowny doktor zebrał w przeciągu nieraz tygodnia swego pobytu w fermie Little Downs; taki dobry początek był dlań zachętą do poniesienia nowych trudów. — Australia, jak to odrazu przekonał się pan Halm, jest dla entomologów prawdziwą ziemią obiecana, gdzie do dziś dnia istnieje mnóstwo nieznanych w nauce gatunków.

To też nasz doktor polował zapamiętale, codziennie, równo ze wschodem słońca, uzbrojony w siatkę, szczypczyki, słoiki i flaszeczkę z benzyną, wyruszał ze swego pokoju na łakę; tutaj, w pośród niezliczonych stad bydła i owiec, ugaśniał się za swoją lotną zdobyczą; pastuchy widzieli go nieraz, jak pełzał wpośród wysokiej trawy, biegł na czworakach, wspinał się na stojące samotnie drzewa kopał ziemię, odwracał ciężkie kamienie, lub dokonywał innych jeszcze dziwniejszych czynów, wcale nie liczących z jego zwykłą powagą. Prości ci ludzie nie przypuszczali, iż doktor był w owych chwilach zajęty nadzwyczaj ważnymi sprawami i śmieli się zeń po cichu. — Inteligencya Little Downs — wszakże oceniała właściwie poświęcenie się pana Halma dla dobrej nauki i okazywała należny mu szacunek. Doktor zjający, spocony, powracał do domu dopiero około drugiej po południu i zjadłszy skromny obiad z damperów, *) wołowiny, herbaty i kieliszka wina, uporządkowywał zebrane rano okazy.

Uskuteczniejszy to, udawał się znowu na łowy; nie rzadko też urządzał wyprawy nocne, z latarnią, które zawsze przynosiły mu plon obfity.

Fryderyk Halm, należy to zaznaczyć, był jednym z najbardziej znanych entomologów niemieckich i członkiem kilku towarzystw naukowych; przybył on do Australii przed paru tygodniami celem studjowania owadów Queens'andu. Korzystając z listów polecających, otrzymał zaproszenie od pana Hundleton do Little Downs, stacyi hodowli bydła, położonej o 180 kilometrów na zachód od Townsville.

Pan Halm skwapliwie je przyjął i oddał się z zapałem kolekcjonowaniu owadów, które stanowiły jego namiętność.

Rozklasyfikowawszy zdobycz z dnia poprzedniego, doktor zebrał ze stołu swoje przyrządy i zamierzał opuścić werendę, gdy zjawił się na niej wysoki, opalony mężczyzna.

*) Damper — podplomyk, jakim się żywią powszechnie farmerzy w Australii.

— Ah, pan Artur Dugan! — zawołał Halm, wyciągając do przybyłego rękę; zobacz no pan, jakiego wspaniałego chrząszcza złapałem wczoraj nad rzeką pomiędzy paprociami drzewiastemi; nowy zupełnie gatunek... właśnie namyślałem się, jak go nazwać... jeżeli pan pozwoli, ochrzczę go Stigmodra Duganii...

— Zbyt wielki honor dla mnie, — odparł Dugan, uśmiechając się; zdaje mi się, że miano Stigmodera Halmii będzie odpowiedniejsze.

— Nie, nie! — zawołał doktor, wyjmując z pudełka potwornego owada; gdyby nie pańskie pośrednictwo, nie otrzymałbym od pańskiego szwagra zaprosin do Little Downs, a co zatem idzie, nie odkryłbym tego chrząszcza... słusznie więc..

— Rób doktorze, jak ci się podoba, rozporządzaj dowolnie mojem nazwiskiem. Jestem jednak pewien, iż znajdziesz się w kłopotcie, jeżeli zechcesz chrzcić nowe gatunki owadów nazwiskami swych znajomych i przyjaciół... odkryjesz ich bowiem niemało — mam nadzieję...

— Tak pan mniemasz?! — zagadnął doktor, rumieniąc się z radości. Przypuszczam wszakże, iż będę musiał rozpocząć poszukiwania w okolicach odleglejszych nieco, gdyż w sąsiedztwie stacyi nic tak bardzo godnego uwagi nie spotkałem.

Kiedy tak, to możemy natychmiast urządzić małą wycieczkę w górę rzeki; są tam pustkowiec nieuczyszczane wcale, znajdziesz pan w nich niejeden cenny okaz.

— Bardzo chętnie! — zawołał ucieszony doktor; doprawdy, obowiązuję mnie pan swoją uprzejmością.

Przygotuj się pan więc do drogi, ja każę tymczasem przygotować konie.

— Kochany Dugan! — mówił sam do siebie doktor, niosąc kolekcję do swego pokoju; jest on dla mnie nieocenionym! Nie żałuję wcale, że ochrzciłem jego nazwiskiem taki ciekawy gatunek; należało mu się to niezaprzeczenie!

Uwielbienie doktora Halma było w zupełności usprawiedliwionem. Pan Artur Dugan, któremu pewien berliński profesor polecił listownie naszego uczonego — zrobił bardzo wiele dla swojego gościa; on to, jak wiemy, wprowadził go do Little Downs i dawał mu codziennie mnóstwo cennych wskazówek, okazując równocześnie czynną pomoc w dopełnianiu kolekcji. Mógł to łatwo czynić, gdyż znał na wylot faunę i florę Australii; był on jednym z najdzielniejszych podróżników, jacy zwiedzali Nową Holandję; w 1839 roku przedsięwziął on trudny i niebezpieczny zamiar zbadania wnętrza stałego lądu i pomimo nieskończonych trudności, z narażeniem życia — przyprowadził go do skutku. Jego wycieczka rzuciła nowe światło na przyrodę, budowę geologiczną i stosunki klimatyczne owej olbrzymiej pustyni, zajmującej serce Australii, i zjednała mu duży rozgłos w świecie uczonym.

Artur Dugan nie spoczywał jednak na laurach; prowadził on swoje badania w dalszym ciągu; co rok prawie zapuszczał się jak tylko można było najdalej, w głąb lądu, — zdobywając za każdym razem nowe i cenne topograficzne szczegóły i wzbogacając swe zbiory, które wzbudzały zazdrość w sercu doktora Halma. Widzimy więc, że nasz entomolog znajdował się w towarzystwie nader stosownem i spodziewał się też, iż wyciągnie ztąd niejeden korzyść dla nauki.

Umieściwszy w szafie swoje skarby, doktor przykrył głowę słomianym kapeluszem o szerokim rondzie i wyszedł na werendę, nie zapomniawszy naturalnie słoika i siatki. Dugan czekał już na niego siedząc na dobrym, choć nie ujeżdżonym dostatecznie, koniu. Obok na drugim wierzchowcu, doktor spostrzegł murzyna australskiego, ubranego zupełnie po europejsku. Uśmiechnięta twarz czarnego, dziwnie odbijająca, od jasnego kapelusza, tryskała inteligencyą, — tak rzadką u australczyków; z oczu wycierał spryt, z ruchów zaś pewność siebie i ogląda towarzyska.

— Jak się masz, Ablu? — zawołał doktor, podając dłoń mu zynowi,

— Dziękuję panu, bardzo dobrze. Jeżeli pan pozwoli, udamy się razem na wycieczkę; mam nadzieję, że w pe-



Wildbad - Gastein.

wnem, dobrze mi znanem miejscu, znajdziemy kilka gatunków dość rzadkich, o których może nie słyszano w Europie.

— Doprawdy? -- jedźmy zatem czempędzej!

Murzyn wyrażał się najczystsza w świecie angielszczyzną i poprawnie; Halm, ujrawszy go po raz pierwszy, niemało był z tego powodu zdziwiony; dowiedział się jednak, iż Abel, oprócz czarnej skóry, nie miał nic wspólnego ze swymi dzikimi współziomkami; wychował się od dzieciństwa u Dugana, który przed laty znalazł go w lesie opuszczonego przez rodziców. — Zaczny podróżnik wziął chłopca, ażeby, jak mawiał, zro-

bić z nim doświadczenie. Postanowił dowiedzieć się, o ile Australczyk może się ucywilizować; w tym celu kształcił dziecko, na równi z synami białych, najprzód w szkole początkowej, a następnie w gimnazyum w Brisbane.

To doświadczenie wypadło nadspodziewanie pomyślnie; Abel nietylko, iż nie pozostał w tyle za swymi kolegami, lecz nawet wyprzedzał ich pod wieloma względami, okazując spryt i dając dowody inteligencji, jakiejby nikt po jego rasie nie oczekiwał. Przed dwoma laty skończył z odnaczeniem gimnazyum i obecnie studjował medycynę.

Dugan szczyił się swym wychowawcą, który był żywym dowodem, iż murzyni australscy, wbrew ogólnemu mniemaniu, mogli korzystać z dobrodziejstw cywilizacji.

Abel, przepędziwszy większą część swego życia pomiędzy białymi, utracił zupełnie swoje dzikie instynkta — i, zdawało się, zapomniał o swych dziecinnych latach... Dugan przy-

koniał, którego sam przyprowadził; trzymaj się tylko dobrze, bo ostrzegam twój wierzchowiec, nie należy do zwierząt powolnych.

Halm westchnął, gdyż na nieszczęście, jako uczony gabinetowy, nie był tęgim kawalerzystą; niezgrabnie, przy pomocy Abła, wdrapał się na siodło, i trzymając w ręku swą nie-



Na ślizgawce.

brał go urzędownie za syna i przywiązał się doń całą duszą, obiecując sobie, że zrobi zeń dzielnego i mądrego człowieka.

Doktor Halm, poznawszy bliżej Abła, ocenił go odrazu sprawiedliwie i, pozbywszy się uprzedzeń, traktował go, jak równego sobie, tembardziej, że młody Australczyk miał w poszanowaniu nauki przyrodniczej w ogóle a entomologię darzył specjalnymi względami.

— Siadajże doktorze rzekł Abel, podając mu uzdeczkę

odstępną siatkę, z biedą skierował się ku przerwie w ogrodzeniu drucianem, otaczającym zabudowania stacyi.

Niebawem, jeźdźcy wydostali się na nieprzejrzaną naturalną pastwisko, rzadko usiane akacyami i drzewami gumowemi. Rosła tu bujna o słonawym smaku trawa, bardzo lubiona przez muły i owce; niedawny deszcz ożywił jej zieloność, która teraz mile wpadała w oko.

Step był zupełnie równym, dlatego też jechano tęgim

klusem, ku wielkiemu niezadowoleniu Halma, niechętnie podskakującego na siodle; Abel skierował się na północny zachód ku majaczącej na horyzoncie linii lasu, który porastał wąskim szlakiem brzegi strumienia Clarke, płynącego w sąsiedztwie stacy; doktor zapuszczał się już parokrotnie w tamte okolice, lecz nie znalazł nic osobliwego; dla tego też był ciekawym dowiedzieć się, dokąd go poprowadzi Abel. Po godzinnej jeździe, nasza trójka znalazła się wreszcie pomiędzy olbrzymimi eukalyptusami i smukłymi palmami Liwistoniami, rozpościerającymi powabnie swe wachlarzowate liście. Tutaj zwolniono nieco biegu, ażeby dać wytchnąć koniom, okrytym potem

— Czy daleko jeszcze do owego błogosławionego miejsca? — zagadnął doktor głosem, w którym brzmiało zniecierpliwienie.

Ze dwie mile, — odparł Abel, pokazując swe białe zęby; zaręczam jednak, że nie będziesz pan żałował poniesionych trudów; niebawem dostaniemy się w gąszcz, gdzie panuje niezwykła rozmaitość; na niektórych rzadszych roślinach, znajdziesz pan, jak się spodziewam, niejeden nowy gatunek. Mamy jeszcze cztery godziny do zachodu słońca, możemy więc nie spieszyć się wcale.

Halm skrzywił się, gdyż konna jazda dała mu się już porządnie we znaki; niebawem jednak jego chude oblicze rozjaśniło się, na widok krajobrazu rozciągającego się nad rzeką,

Las eukaliptów, akacyj i liwistonii rozstąpił się nagle, odsłaniając dość rozległą polankę, którą pokrywał kobierzec różnobarwnego australskiego kwiecia. Doktor, ku swej radości ujrzał mnóstwo motyli, uwijających się żwawo w promieniach słonecznych; słyszał nadto, mile w jego uszach odzywające się brzęczenie drobnych owadów, które zlatywały się tutaj ze wszystkich stron na ucztę, zastawioną dla nich przez szcudrobliwą przyrodę.

(d. c. u)

Wildbad-Gastein.

Nie nie przyczynia się mocniej do utrwalenia, a nawet do odzyskania nadwyręzonego zdrowia nad świeże, balsamiczne powietrze, jakim się odznaczają górskie okolice.

Do takich należy niewątpliwie Wildbad-Gastein, gdzie z powodu źródeł alkaliczno-słonych, lekarze wszelkich krajów, wysyłają znaczną liczbę chorych. Prześliczna ta miejscowość, którą przedstawia nasza rycina, wyniesiona na 3,000 stóp nad poziom morza, leży w austriackiem księstwie Salzburskiem, u stóp góry Grunkogel nad rzeką Ashe i przedstawia się nadzwyczaj malowniczo. To też zapewne niejedna z przebywających tu czasowo osób, odzyskawszy zdrowie dzięki skuteczności wód tutejszych, w odniesieniu wspomina precudne górskie krajobrazy, wśród których przebywała.

ONA

OPOWIADANIE

przez **Zofię Kowerską.**

Sześć lat już było upłynęło od śmierci pani Mierznickiej. Przez cały ten czas, opiekunką osieroconych dzieci była pani Walburgowa, wdowa po urzędniku, którą panu Mierznickiemu, któryś z jego przyjaciół zalecił, jako dobrą i rozsądną kobietę, mogącą dzieciom zastąpić matkę.

Była to w istocie osoba pełna dobrych chęci, gotowa całemi nocami czuwać, gdy które z dzieci było chore, ale nie miała ani wykształcenia, ani taktu, ani pojęcia o wychowaniu dzieci. Przywiązała się serdecznie do Marytki, najmłodszej dziewczynki, którą matka odumarała, jako cztero tygodniowe maleństwo. Obecnie Marytka miała lat sześć i była nieznośnem, rozpieszczonem i kapryśnem dzieckiem, któremu Walburgowa pozwalała na wszystko i które było znane ze swych dziwactw w okolicy.

Starszych dzieci było troje: dwunastoletnia Elżunia, jedenastoletni Franio i ośmioletni Broniś. Względem tych dzieci Walburgowa była surowsza, niż względem Marytki, ale będąc sama pospolitą i niewykształconą kobietą, dawała swym wychowañcom fałszywe pojęcie o świecie i ludziach i nie umiała być sprawiedliwą. Gdy była w dobrym humorze, dzieci mogły dokazywać i robić co chciały, gdy była zła, krzyczała i gniewała się, jak przekupka. W obecności pana Mierznickiego przybierała miętę łagodną i potulną. Z powodu niezmiernego swego przywiązania do Marytki, bała się nadewszystko stracić miejsce swoje i wpajała dzieciom niemądre wyobrażenia o nauczycielach i nauczycielkach przyszlých, zaś drugą matką straszyla je, jak upiorem.

Pan Mierznicki był radcą Towarzystwa Kredytowego, co go zmuszało do spędzania czterech miesięcy rocznie na urzędowaniu w Warszawie. Przez ten czas dzieci zostawione z Walburgową na wsi w Litowie, były wyłącznie pod jej wpływem i bywały świadkami jej kłótni z boną francuzką, którą podejrzewała o chęć zajęcia jej miejsca.

Pan Mierznicki nie był w stanie zdać sobie sprawy ze wszystkiego zła, jakie dzieciom wyrządzała Walburgowa. Widział tylko, że Marytka była nieznośnie rozpieszczona i że Elżunia i Franio potrzebowali nauki systematycznej. Biedny ojciec czuł, że jest to dla niego zadanie niezmiernie trudne, wychować to czworo dzieci, z którymi rzadko mógł przebywać. Postanowił więc ożenić się powtórnie.

Poznał właśnie w Warszawie niejaką pannę Helenę Zwojską, która zdawała się posiadać wszelkie przymioty potrzebne dobrej matce. Była pobożna, rozumna, łagodna, i pracowita. Pan Mierznicki pomyślał:

— Chłopcom moim, a szczególnie dziewczętom potrzebny jest kierunek kobiety z sercem i głową. Panna Helena musi mieć serce szlachetne i wiele rozumu.

Jest to jednak krok niezmiernie ważny dla każdego mężczyzny, coż dopiero dla wdowca, mającego dzieci. Pan Mierznicki więc długo w noc chodził wielkimi krokami po swoim pokoju. Spać nie mógł; rozmyślanie sen z powiek jego odpędzało.

Nazajutrz, była to niedziela, pan Mierznicki poszedł do kościoła, gdzie się spodziewał zastać pannę Helenę Zwojską z matką. Obie te panie były tam rzeczywiście. Pani Zwojska siedziała w ławce, zaś panna Helena, nie znalazwszy już miejsca, stała na boku. Przy niej stanął pan Mierznicki, a gdy przy podniesieniu uklękli oboje, on modlitwę gorącą zaniósł do Boga, aby kierował zamiarami jego tak, jak dla szczęścia dzieci miało być potrzebnem. Wychodząc z kościoła zbliżył się do pani Zwojskiej i zapytał, czy może jej towarzyszyć do domu. Pani Zwojska wsparła się na jego ramieniu a panna Helena postępowwała przed nimi. Gdy się znaleźli w salonie pani Zwojskiej, oczy pana Mierznickiego zwiłgocniały nagle, gdyż sobie przypomniał żonę, którą niezmiernie kochał, a na której miejsce chciał do Litowa drugą wprowadzić.

— Mam już lat 36 — ozwał się do pani Zwojskiej — i nie myślałbym już zapewne o małżeństwie, gdyby dzieci moje mogły się obejść bez matki, ale widzę, że im macierzyńska opieka koniecznie jest potrzebna i dlatego powziąłem zamiar prośnienia o rękę panny Heleny.

Obie panie zdziwiły się niezmiernie, nie podejrzewały bowiem pana Mierznickiego o podobne zamiary. Po chwili pani Zwojska rzekła:

— Ponieważ tu chodzi o przyszłość córki mojej, a ja

przeciwko panu nic mieć nie mogę, zatem zostawiam Helencę zupełną swobodę. Niech sama stanowi o losie swoim.

Helena prosiła o parę dni do namysłu. Chciała by pan Mierznicki częściej przez ten czas przychodził, by go lepiej poznać mogła i by mogli wiele rozmawiać o dzieciach i wspólnie się naradzać, co im na obecną chwilę było potrzebne.

— Czuję — rzekł pan Mierznicki do panny Heleny — że pani, zgadzając się na prośbę moją, uczyni poświęcenie ogromne. Wychowanie czwórki dzieci wziąć na swoje barki!

— To mię raczej zachęca, a bynajmniej nie odstrasza — odpowiedziała panna Helena. — Dzieciom zastąpić matkę, poświęcić się ich wychowaniu, to zadanie niezmiernie wzniosłe, a tem samem bardzo ponętne. Nie boję się go. Jestem pewna, że dzieci doskonale sędzić umieją i dostrzegłszy dobre chęci wychowawczynie, jej serdeczne pragnienie wypełnienia obowiązków, chętnie się poddadzą jej wpływowi. Wcale nie myśl o nich, pobudza mię do wahania, raczej to, że znam pana za mało i nie wiem, czy nasze usposobienia zgodzić się z sobą potrafią.

Pan Mierznicki bywał tedy codziennie u pani Zwojskiej i całemi godzinami rozmawiał z jej córką. Ulubionym przedmiotem dla panny Heleny były dzieci. Znała teraz ich wiek, wiedziała z opowiadania jak wyglądały i jakie każde z nich okazywało skłonności.

— A ta bona, która je wychowała — zapytała raz panna Helena — wszak to osoba zasługująca na zupełne zaufanie?

— O tak! Jest to prosta kobieta, która je tylko czytać, pisać i rachować nauczyła, ale kocha wszystkie dzieci, a za Marytką przepada.

Panna Helena uśmiechnęła się:

— Więc była i nauczycielką dzieci?

— Tak, udzielała im początków.

— Ale czy dobrze?

— Tego doprawdy nie wiem. Nigdy nie miałem czasu ani cierpliwości uczyć nikogo. Myślę, że dla dwojga starszych dzieci Walburgowa jest już niedostateczną, nawet przy pomocy bony francuzki. Dla młodszych byłaby wystarczająca, gdyby tak nie psuła Marytki.

Tymczasem sąsiadka Litowa, pani Uzanowska wróciwszy z Warszawy, przywiozła wiadomość, że pan Mierznicki stara się o pannę Zwojską. Mówiono o tem głośno przy stole i przez służących wieść ta doszła wkrótce do Litowa, a przedewszystkiem do Walburgowej, która, jak wszystkie pospolite kobiety, lubiła plotki i była prawdziwym ich zbiorowiskiem.

Dopieroż tedy Walburgowa z głośnym płaczem i łamiąc ręce, z garderoby wypadła do dziecinnego pokoju wołając:

— O, nieszczęśliwe dzieci! O biedne wy sieroty! Już to niema gorszej doli, niż dola dziecka chowanego przez macochę!

— Czego pani płacz? — spytała Elżunia.

— Ej nie, nie — odpowiedziała Walburgowa — takie już mam *migtkie* serce, że niczyjej krzywdy znieść nie mogę... A najgorsza taka krzywda, którą ojciec wyrządza własnym dzieciom!

— Ja nie chcę, żeby pani Walowa płakała! — zawołała Marytka, która z czasów gdy mówić zaczynała, zachowała zwyczaj nazywania Walburgowej: — pani Walowa.

Tu nastąpił nowy wybuch żałości Walburgowej.

— O moje ty złoto, moje ty kochanie! — zawołała szlochając i porywając w objęcia ukochaną, a bardzo już ciężką Benjaminę.

Dzieci otoczyły lamentującą kobietę.

— Już ja tu u was nie będę! — mówiła przerywanym głosem. — Przez sześć lat ani ja dojadłam, ani ja dospałam, a takem nad wami drżała jak żółw nad jajami... niech które palec zaboli, to już mi się widzi, że na mnie dach się wali. Ale to wszystko za nie! Drzwi ci jak psu pokażą! Jakaś tam lalka warszawska lepsza od ciebie, bo może ładniej mówić umie i ładniej się uśmiecha, a przymila się głosem sło-

dziutkiem! I jużbym nawet nie nie mówiła, poszłabym łykając łzy, żeby wiedziała, że z tem dzieciom dobrze będzie, ale podobno to złe i uszczypnąć dobrze potrafi, choć wygląda jak aniołek.

— O kim pani mówi? — zapytał Franio, który był ze wszystkich dzieci najpoważniejszy i najspokojniejszy.

— Wasz papa przywiezie wam macochę! — wybuchnęła w końcu Walburgowa.

Dzieci stanęły jak wryte. Twarze starszych dwojga pobladły. Milczały. Pierwsza Marytka zawołała strojąc minkę do płaczu:

— Ja nie chcę macochy!

— Ja ją z domu batem wypędzę! — krzyknął ośmioletni Broniś, zawadyaka wielki, który przy zabawie miał zawsze bat w ręku.

— Kto to pani powiedział? — zapytał poważnie Franio.

Elżunia blada, z oczami spuszczone mi stała milcząca. Ona najlepiej matkę pamiętała i jakaś niewytłomaczona nie nawiść powstawała w jej sercu względem kobiety, która jako matka do domu wejść miała.

Walburgowa przyciągnęła wszystkie dzieci do siebie, jak gdyby je bronić chciała przed niebezpieczeństwem.

— Moje wy biedne sieroty! — utyskiwała kiwając głową. — Już ja wiem jak to będzie! Nowe sitko na kolek! Wasz papa będzie wszystko widział oczami żony, dopóki się nie przekona, jakie to ziółko! Oj! nie wy będziecie mieli pierwsze miejsce w sercu jego, tylko ona! Zawsze co nowe to się wydaje ładne i dobre, a co stare, to w ką!

— A może ona dobra? — ozwał się Franio.

Elżunia rzuciła na brata wejrzenie pełne oburzenia.

— Choćby była dobra, to zawsze będzie macocha! — ozwała się z goryczą — zawsze będę ją nienawidzić!

— Macocha nigdy nie może być dobra! — zawołał Broniś.

— Oj to, to, moje dziecko — przytakiwała Walburgowa — świętą prawdę powiedziałeś! Macocha nigdy nie może być dobra, bo ona nigdy nie może mieć serca dla obcych dzieci, a myśli tylko o tem, żeby mąż jej ufał, jej wierzył, a nie dzieciom. A jeszcze jak jej Bóg da własne dzieci, to jużby pasierbów swoich chciała w łyżce wody utopić!

— To może jeszcze nieprawda! — rzekł Franio.

— Pani Uzanowska była w Warszawie i mówi, że wasz papa się żeni. Już tam ona tego z palca nie wyssała i musiała się dobrze dowiedzieć. Ja już tylko czekam, jak mi każą fora ze dwora!

Walburgowa, jako kobieta nie posiadająca starannego wychowania, wyrażała się pospolicie i nieładnie.

— Ja pojedę z panią Walową! — mówiła Marytka, obejmując szyć bony rączkami.

Nadchodziły święta Bożego Narodzenia; oczekiwano pana Mierznickiego, który miał przyjechać, by obiad wigilijny spożyć razem z dziećmi. Walburgowa przygotowywała z jego rozkazu drzewko, na którem zwykle sam zawieszal podarki przeznaczone dla dzieci.

Walburgowa zapomniała prawie o macosze, bo ogromnie lubiła wszystkie przygotowania do świąt, pieczenie ciast i strucli, zresztą łatwo przechodziła z łez do śmiechu. Jednej tylko Elżuni myśl o małżeństwie ojca zabiła się gwoździem w głowę; młodsze dzieci nie zastanawiały się już nad tem wcale. Elżunia spoglądała często na fotografię matki wiszącą w dziecinnym pokoju i obok żalu za zmarłą, czuła w sercu gniew i zaciętość względem nieznanym, która jako żona ojca przybyć tu miała.

— Nigdy nie powiem jej „mamo” — szeptała. — Będę jej mówić pani i w ogóle jak najmniej do niej odzywać się będę. Niech wie, że jej niecierpię!

W przeddzień wigilii przybył ojciec. Uściskał dzieci serdeczniej jeszcze niż zwykle, po obiedzie zaś, gdy wszystkie po kolei przyszły, jak to miały we zwyczaju, po kawałek cukru unoczoney w czarnej kawie, ojciec zatrzymał je przy sobie

wziął Marytkę na kolana, resztę dzieci ogarnął ramionami i z wielkiem wzruszeniem powiedział:

— Dzieci kochane, mam do powiedzenia wam coś, co was ucieszyć powinno. Pan Bóg zabrał wam mamę, bardzo dobrą i świętą... tak się Panu Bogu podobało... Z Jego łaski znalazłem dla was drugą mamę, tak samo dobrą... Nie zna was, ale gotowa was kochać... już was kocha... Pamiętajcie tylko dzieci, być dla niej bardzo posłuszne, bardzo uległe...

Ojciec urwał. Ciężkie milczenie zapanowało wśród dzieci. Starsze spuścili oczy ku ziemi. Elżunia gryzła róg fartuszka, Broniś kręcił guzik przy swoim ubraniu. Po chwili Marytka patrząca ojcu w oczy zawołała:

— Czy to będzie macocha?

— Tak, moje dzieci, ale to jest nazwa, która brzmi niemile...

— Ja nie chcę macochy! — krzyknęła Marytka przerywając ojcu. — Ja odjadę z panią Walową!

Na twarzy ojca malowała się wielka przykrość. Zaciął wargi pobladłe, zasadził Marytkę z kolan i rzekł poważnie:

— Idźcie dzieci do swego pokoju. Powinnyście rozumieć, że ja nie mogę uczynić nic takiego, coby było z waszą szkodą. Nikt was tak nie kocha, jak ja, nikt tak waszego dobra nie pragnie i możecie mi wierzyć, że prosząc panny Heleny Zwojskiej, żeby została moją żoną, was przedewszystkiem miałem na celu. I ona także przyjmując moją rękę myślała szczególnie o was. Dla jej szlachetnej duszy dostatecznym jest to, żeście sieroty. Pragnie wam zastąpić matkę... Gdy ją poznacie, pokochacie z pewnością!

(d c. u.)

ŚLIZGAWKA.

Prawdziwe imię jego było Czesław, lubo inni chłopcy spoglądając na niego z lekceważeniem przezwali go „zmarzłakiem”. Rodzice Czesia na zimę dopiero sprowadzili się do miasta, a była to zima tęga, mroźna, taka właśnie jakiej potrzeba do używania dobrej sanny, ślizgawek na lodzie i lepienia ludzi ze śniegu. Cześ nie chciał w tych rozrywkach towarzyszyć brać udziału, przypatrując im się tylko z daleka, przychodził zawsze otulony w ciepły płaszcz z kołnierzem podwiązanym i rękoma schowanymi w kieszeniach. Wyśmiewano się z niego, że tchórz i pieszczoł, nie pomnąc, że nie z jego po części winy, iż nie dość go hartowano. Na czele chłopców szydzących z biednego Czesia stał Staś D. który „zniewieściałego zmarzłaka” do wspólnej zabawy z towarzyszami przepuścić nigdy nie chciał.

Było to w dzień rekreacji; Staś z młodszym braciszkiem Guciem i dwoma innymi kolegami Franiem i Tadzkiem udali się nad rzekę za miasto użyć swobodnie ślizgawki; lód był gładki, równy, bawili się doskonale. Na ślizgawce nigdy zimno nie dokuczy, ruch rozgrzewa wszystkie członki, chłopcy

też nie zważali na wiatr chłodny, ani na śnieg zaścielający ziemię na kilka cali.” Staś zaproponował grę w piłkę przyniesioną w tym celu w kieszeni. Rozpoczęła się partya pełna wesołych przygód, uczestnicy uganiając się po lodzie za rzuconą piłką, przewracali się jeden za drugim, a głośnie śmiechy rozlegały się dokoła. Gdy tak się bawili, Cześ z podwiązanym jak zwykle kołnierzem, w płaszczu, zsiniały od zimna, stanął na brzegu rzeki.

— Wygląda jakby śledzia połknął — zauważył Franio.

— Raczej jakby go śniegiem nakarmiono — dodał Tadzio.

— Zamienisz się w bryłę lodu zmarzłaku — wołał Staś, zwracając się wprost do Czesia — włóż łyżwy na nogi i spróbuj się ślizgać.

— łyżwy zbyt drogo kosztują — odparł smutnie Cześ — a przytem nie umiałbym ich użyć.

Szczere wyznanie biednego chłopca rozśmieszyło dzieci, które zajęły się na nowo grą swoją. Choć lód na rzece był gruby, w jednej stronie gdzie do niej strumień wpadał, znajdowało się niebezpieczne dla łyżwiarzy oparzelisko. Chłopcy wiedzieli o niem i od zdradzieckiego miejsca trzymali się daleko, ale naraz piłka właśnie ku tamtej potoczyła się stronie, a Gucio nierozważnie pobiegł za nią.

— Wróć się — wołał Staś, Gucio jednak w zapędzie nie zdołał się wstrzymać, dopiero odgłos łamiącego się lodu ostrzegł go o niebezpieczeństwie; chciał zawrócić, zapóźno! lód załamał się z łoskotem i chłopiec wpadł do wody.

Staś i towarzysze jego z krzykiem przerażenia zbliżyli się do Gucia, ale pomocy udzielić mu nie byli w stanie, bo choć tonący niedaleko był brzegu, oni na łyżwach nie mogli się dostać, jak również nie mogli utrzymać się na kruchym w pobliżu oparzeliska lodzie.

Szczęściem Cześ znajdował się niedaleko, był on w gruncie odważnym i przytomnym chłopcem. Pobiegł prędko na miejsce gdzie Gucio się załamał, wyrwał żerdź z sąsiedniego płotu i jeden jej brzeg podał tonącemu. Gucio chwycił się jej i stanął niebawem na lądzie. Można było jednak się obawiać, że chłopiec wystawiony na zimne powietrze w przemokłej odzieży, łatwo się przezięb. Cześ nie myśląc też długo zdjął z siebie płaszcz, nakrył trzęsącego się jak w febrze Gucia, odpiął mu z nóg łyżwy i zachęcił aby prędko biegł do domu. Cześ załatwił się z tem wszystkim zanim Staś z towarzyszami podążyli do nich. Staś kochał serdecznie brata swego, w duchu też uznawał swoją winę względem Czesia, który mu dobrem za złe odpłacił; nie wiedział tylko jak mu wdzięczność swoją wyrazić.

— Dziękuję ci — mówił — że tak troskliwie nakryłeś Gucia płaszczem swoim, ale sam przez to zaziębić się możesz.

— Przynaję, że mi chłodno trochę — odparł Cześ — wrócę też do domu.

— Poczekaj — zawołał Staś — rozgrzejesz się zaraz; włóż na nogi łyżwy Gucia, a ja nauczę cię ślizgać się po lodzie.

Oczy Cesia zaświeciły radością; nie można wprawdzie od jednego razu nauczyć się ślizgać, ale Cześ był pojętym uczniem, a Staś gorliwym nauczycielem; niebawem też Cześ do zręcznych łyżwiarzy zaliczonym został i odtąd szczerą przyjaźń łączyła obydwóch chłopców.

P. Gr.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczua i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

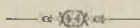
TREŚĆ: Chrystus przewodnikiem, wiersz p. Adama Plugę (z drzew.) — Gwiazdy i meteory p. St. Kramsztyka. — W pustyniach Australii p. Władysława Umińskiego. — Wildbad-Gastein (z drzew.) — Ona, p. Zofię Kowerską. — Ślizgawka (z drzew.) — **Dodatek:** Kolenda wiersz p. Z. Mrozowicką. — Baśń o chatce małej z błyszczącym okienkiem i o dzieciątku leżącym na śniegu. (z drzew.) — Pogadanka z wujaszkiem p. M. D. — Kamigłówni. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Dla szczęścia rodziny

Przekład Maryi B.

WIECZORY RODZINNE.



Kolenda.



Pastuszkowie posnęli
Nie wiedzący o Bogu —
Zbudziwszy się bieżeli,
Stają w szopce na progu.

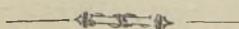
A Jezusik w żłobeczku
Śpi podobnież słończku,
Aniołkowie mu grają cicheńko;
Obok Matuś, jak wiosna,
Promieniująca, radosna,
Pieluszyngę obrębia maleńką.

Wół z osiołkiem w kąciku,
Poklękali przy sobie
W swym bydłęcym języku
Chwaląc Pana w tej dobie.

Stary Józef, brodaty,
Udarł sobie skraj szaty,
By podścielić pod nóżki Dziecinie,
Poklękali pasterze,
Lęk i dziwo ich bierze
Że tak Boga widzą w tej godzinie?—

Zawołali: „Maryjo!
Niechże Twoja przyczyna,
Cudna, rajska lilijo,
Mówi za nas do Syna!”

Zofia Mrozowicka.



BAŚN

o chatce maleńkiej z błyszczącym okienkiem i o dzieciątku
leżącym na śniegu.

przez **Z Morawską**

Pod wielkim lasem stała sobie maleńka chata, ale to taka maleńka, iż kto tylko przechodził, dziwił się i mówił:

— Kto też to w tej chacie mieszka?

A można się było dziwić.

Chatka miała cztery ściany, dach, miała drzwi i okienka ale to wszystko było takie maleńkie, jak te domki, co je dzieciom dają do zabawki.

Ale chociaż chatka była malusieńka, było około niej czysto a z ogródka na wiosnę i latem dochodziła taka woń przyjemna, że każdy kto przechodził, mówił sobie:

— Co też to tam za ziółko w tym ogródku rośnie, że tak wonieje dokoła.

Zimą, kiedy śniegu nawiało i zaspy się takie wielkie porobiły, że trzeba było je odmiatać, ażeby się dostać z chaty do chaty, około owej maleńkiej chatynki było akurat tyle tylko śniegu, żeby otulił drzewka i owe trawki pachnące w ogródku.

A ludzie znów przechodząc dziwili się temu i mówili sobie:

— Kto też to tam ten śnieżek tak odmiata, że chata choć maleńka, widać ją jednak na białym polu lepiej, aniżeli pałac największy.

Nie widziano nigdy żeby z tej chaty kto wychodził, aleć musiał tam ktoś mieszkać.

Z komina dym buchał jako z chat innych, a wieczorem z maleńkich okienek błyszczało światelko, jeszcze jakie światelko!

Jasne jako te gwiazdki, co mrugają na nieba błękiecie,

a każdemu kto w ciemną noc powracał, okienka w chatce tak przyświecały, jakby kto onych gwiazdek z nieba całą garstkę rzucił mu na drogę.

Starzy ludzie mówili, że ta chatka już dawno, bardzo dawno stoi, ale nikt się do niej nietylko zajrzeć ale nawet zbliżyć nie ośmieli.

Mówiono też sobie :

— Skoro nikt nie widział, kiedy i jak ją zbudowano, znać to sam Pan Bóg chciał, żeby tam stanęła. Zimą więc aniołom swoim rozmiatać skrzydłami ów biały śnieżek kazał, a latem ową woń cudną po całym świecie roznosić.

— A skoroć tak Bóg dobry rozkazał, to żaden człowiek nie powinien się Jego woli sprzeciwiać.

A jeden stary, bardzo stary człowiek mówił :

— Zbliżyćby się tam mógł chyba taki, coby w sercu swoim nic złego nie nosił lub też zapomniawszy o sobie innym coś dobrego uczynił...

— Ale gdzie takiego znaleźć! — dodawał staruszek, kiwając głową.

Jakoś się nikt do owej chatki nie zbliżał, a wszyscy ją mieli w poszanowaniu.

I stała sobie ta chatka maleńka, słup dymu z jej kominu w dzień pogodny unosił się ku górze, a w nocy okienka świeciły prześliczną jasnością, wskazując zblakany drogę.

Aż raz wieczorem Wojtuś wielki próżniak, któremu tylko figle były w głowie a od roboty uciekał, rzekł do towarzyszy :

— Wiecie wy, w tej chacie to muszą być chyba jakie skarby.

— Ha, może! — odrzekł mu Antoś.

— Hej, pójdę i zabiorę, a jak zabiorę, to przynajmniej do pracy nikt mnie napędzać nie będzie! — mówił dalej Wojtuś.

— A podzielisz się z nami? — zaśmiał się Ignas.

— Ho, ho, miałbym też po co chodzić i tyle trudów sobie zadawać, żeby się z wami dzielić! — odrzekł Wojtuś.

— Co wezmę, to będzie moje! nikomu nic nie dam! — pomyślał sobie!

I poszedł.

Idzie sobie, pogwizdując dla fantazyi i myśli:

— U nas przednówek, jak zwykle na wiosnę, gospodyni rzadko kiedy da kromkę chleba, o serze i mowy nie ma, tam w tej chacie musi być wszystkiego po uszy, użyję sobie, a jeżeli nie zjem, to przynajmniej odpocznę, nikt mnie do roboty napędzać nie będzie.

Idzie więc Wojtuś, idzie najpierw drogą, potem skręcił w pole, nie czuje, że zboże wonieje a powiewając zielonemi kłosami, prosi, żeby mu krzywdy nie robił i ku ziemi nie przydeptywał.

Gdzie jemu tam o tem myśleć!

Chatka świeci się przed nim maleńkiemi jasnemi okienkami, on tam dojść musi, co mu tam zboże!

Idzie, ani na chwilę się nie zatrzymuje, już, już jest blisko!

Ale gdzie tam, co on krok posunie naprzód, to chata zdaje się od niego oddalać.

Hej, północ już minęła, koguty pieją gdzieś we wsi, podając sobie swoje „kukuryku, a Wojtuś idzie i idzie.

Gwiazdy gasną na niebie, świt ranny przedziera się przez zróżwione obłoki i ptactwo budzić się zaczyna ze snu nocnego.

Skowronek wzleciał już nawet ku górze, wzywa swym śpiewem do pracy, ale Wojtuś nie słucha go wcale, idzie i idzie przed siebie.

Pot oblewa mu skronie, głód nie na żarty dokucza, nogi mu mdleją, chciałby nawet usiąść, odpocząć, ale jakaś siła pędzi go naprzód, jakby go kto wiał za bary i popychał do biegu.

A chatka przed nim ucieka. Już i słońce rzuciło swe jasne promienie i błyszczące na zielonem zbożu krople rosy mieni barw tysiącem, a Wojtuś bieży i bieży.

Słońko spija owe kropelki, blaskiem swoim obrzuca pole, ogrzewając młodocianą zielen kłoszącego się żyta.

Wojtuś zazdrości słońcu, że mogło się napić rosy błyszczącej, jego pali pragnienie, chciałby sobie choć język odwilżyć, ale co schyli się po kłosek, lub trawkę, zerwie, to nim do ust poniesie, kropla spadnie na ziemię, a trawa zamiast zwilżyć spieczone jego usta, pali je tylko żarem.

I tak bieży i bieży przed siebie, a zacisnąwszy usta, gniewa się w myśli na wszystko, co go otacza.

— Oho, niech tylko dobiegnę do tej chatki, zburzę ją ze szczętem za to, że przedemną ucieka.

A tymczasem bieży tak ciągle.

Minęła wiosna, nastalo lato, zboże z zielonego zrobiło się płowe, potem kłosy jego w złote się zmieniły, chyląc kornie główki ku ziemi, dziękując Panu nad Pany, że im dał tak pięknie wyrosnąć, a Wojtuś bieży i bieży.

Przepióreczka zawołała :

— Pójdźcie żąć! pójdźcie żąć!

Zabrzęczały sierpy i kosy, ludzie uwijają się po polu, słysząc gwary i śmiechy pracowitych żniwiarzy, Wojtuś woła, prosi, żeby go kto powstrzymał; ale gdzie tam! każdy zajęty pracą, nikt ani go widzi, ani wołania jego nie słyszy. Aż oto na polu zrobiło się pusto, zboże nie powiewa, kilkoro drobnych dzieci uwija się tylko, a żeby zebrać zostawione przez żniwiarzy kłosy...

A Wojtuś bieży i bieży!

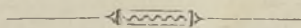
Te dzieci to jego znajomi, woła więc na nie po imieniu :

— Waluś, Kasia, Antoś!

Ale one go nie słyszą, śmieją się między sobą, żartują i skrzętnie kłosy do białej płachty zbierają.

Wojtuś złości się, zaciska pięści, a wciąż bieży i bieży.

(d. n.)



POGADANKA Z WUJASZKIEM.

K O Ń.

— Czy wujaszek idzie do gospodarstwa? Czy mogę iść także? — pytał mały Władzio, który przed kilku dniami przyjechał z Warszawy. Pierwszy raz w swoim życiu był na wsi, to też wiele nowych dla siebie rzeczy spo-

tykał tu codziennie; kochany wujaszek zawsze z nim chętnie rozmawiał, odpowiadając na liczne pytania.

— Idę do stajni, moje dziecko i mogę cię zabrać z sobą, jeżeli ci tem przyjemność jaką zrobić.

— O, toż to przyjemność największa, bo wujek ani wie jak ja konie bardzo kocham! Gdy w Warszawie wychodziłem z mamusią na spacer, to tylko na koniki partryłem — a wujek czy je kocha także?

— Zwierząt się nie kocha, a tylko lubi, mój mały otóż i ja konie bardzo lubię, bo są to stworzenia rozumne i ładne, a przytem człowiekowi bardzo pożyteczne; na całym też świecie spotykamy konia, jako oswojone zwierzę domowe, oddające panu swemu różne usługi.

— Oswojone? a czy to konie żyją też tak dziko jak lwy, tygrysy i lamparty, a może też pożerają inne zwierzęta?

— Konie nie należą do drapieżnych, a tylko do roślinożernych zwierząt, zawsze więc choćby przed tysiącami lat i choć w stanie zupełnie dzikim, żywiły się tem czem żywią się teraz: trawą i ziarnem zboża. Lecz choć dzisiaj nie spotykamy już prawie konia zupełnie dzikiego, rozumiemy przecież, że jak wszystkie inne zwierzęta domowe, człowiek kiedyś oswoił i ujarzmił też konia.

— A czy nie wiadomo kto to najpierw zrobił?

— Według wszelkiego prawdopodobieństwa przyjmujemy, że ludy Azji dokonały tego zwycięstwa nad jednym z najsilniejszych zwierząt; lecz jest to już tak dawno, że najstarsze obrazy i wspomnienia historyczne Egiptu i Azji zachodniej, przedstawiają nam już konia jako zwierzę domowe. Początkowo jednak nie umiał człowiek używać go pod wierzch, a tylko zaprzęgał do wozu. Pierwszy jeździec musiał niemałe obudzić zdziwienie, kiedy aż wytworzono sobie potworną i bajeczną postać Centaura, przedstawiającą istotę o tułowiu końskim, a piersiach i głowie ludzkiej. Obrazek takiego wytworu fantazyi możeś już kiedy widział, a jeśli nie, pokażę ci go w książce, gdy wrócimy do domu. Tymczasem, skoro jesteśmy w stajni, przyjrzyj się koniowi uważnie, abyś wiedział, co go wyróżnia od innych zwierząt.

— Czy też wujek myśli, żebym mógł nie poznać konia i wziąć jakie inne zwierzę za niego?

— Nie mogę tego stanowczo twierdzić, lecz łatwo zbłądzić temu, kto nie ma pewnych niezaprzeczonych wskazówek. Takie to wskazówki czyli cechy charakterystyczne chciałbym, żebyś mi u konia sam odnalazł.

— Ja tylko widzę, że koń jest prześliczny, jeżeli ma łebek mały, uszy niezbyt wysokie, grzywę na karku sutą i takiż ogon. Lubię patrzeć na niego gdy biegnie klusa, lub poważnie przestępuje z nóżki na nóżkę, stojąc zaprzężony u karety.

— A czy u tych nóg nic nie zauważyłeś szczególnego?

— Zdaje mi się, że nic, prócz tego, że cienkie, że widać na nich wyraźnie każdy mięsień i żyłę.

— Powiedz mi Władziu, czy pamiętasz jak wygląda łapa psa lub kota?

— Pamiętam dobrze, pies i kot mają u nóg palce zakończone ostremi pazurami, raz mię nawet nasz kotek po-drapał bardzo.

— A teraz spojrzuj na nogę konia.

— Ależ wujaszku, ja wiem przecie, wiem doskonale, że koń ma kopyta, któremi silnie uderzać może, i dlatego mamusia nie pozwala mi zbliżać się do niego.

— Otoż właśnie te kopyta, jakby twarde trzewiczki, obejmujące w całości kończyny nóg końskich, odróżniają konia od wszystkich innych zwierząt, które mają albo pazury, albo też po dwa palce otoczone oddzielnie rogami pochwami; koń jest zwierzęciem *jednokopytnem*.

— Proszę wujka, a co znaczy rasa koni — czy to może, jakiego są koloru?

— Rasa konia, to znaczy jego gatunek, jego pochodzenie, co z kolorem czyli maścią prawie żadnego nie ma związku. Jako najpiękniejszej rasy uważane są oddawna konie arabskie. Są one niezbyt wielkie i delikatniejsze może od innych, ale za to najpiękniej są zbudowane. Nóżka u nich cienka, łebek mały o rozumnych ognistych oczach. Szlachetne to zwierzę przywiązuje się do swego pana, rozumie każdy odcień głosu jego i jest mu towarzyszem i przyjacielem w dalekich podróżach.

— A czy u nas nie ma takich koni? czy one tylko żyć mogą w Arabii?

— Owszem, są ludzie zamożni, którzy sobie czystej rasy arabskich koni sprowadzają, lecz, że to są konie bardzo drogie, więc nie wszystkich stać na ten zbytek. Zresztą u nas potrzeba więcej koni roboczych, pociągowych, wytrzymałych na wszelkie trudy i niewygody. Arab swoje go pieści, ochrania i tylko jako wierzchowca używa. W Europie cenione są bardzo konie angielskie, zdolne do najszybszego biegu, jest też jeszcze wiele innych odmian, bowiem każdy kraj prawie, wyhodował sobie konia jakiego mu właśnie potrzeba. Są więc konie polskie, żmudzkie, kozackie, niemieckie, francuzkie i t. d., a u wszystkich spotykamy wszelkie odmiany barw sierści; znany więc konie kare, szpakowate, siwe, bułane, gniade, kasztanowate, srokate, taranty i wiele innych nazw maści. Wszystkie jednak konie w cechach ogólnych są do siebie podobne, a drobne różnice jakie zachodzą, tylko wprawne oko znawcy odnaleźć może, chyba że zachodzi wielka różnica wzrostu.

— A małe kuce, czy to też konie takie jak nasze?

— Bezwątpienia, bo mają wszystkie cechy wspólne tej rodzinie zwierząt — są to konie liliputy — których ojczyzną głównie jest kraj Szkocya i wyspa Korsyka na morzu Śródziemnem. Mimo swej małości, są one bardzo wytrzymałe, i w pokarmie niewybredne. Podobne do nich są hucułki karpackie, zręczne w chodzeniu wśród gór po niebezpiecznych wąwozach. Są jednak w wielkiej rodzinie jednokopytnych i takie zwierzęta, które wielu szczegółami w budowie swego ciała różnią się o tyle od konia, że im już inne nazwy ludzie nadać musieli.

— Ale te zwierzęta nie żyją pewnie ani w naszym kraju ani nawet w Europie?

— Owszem, nawet u mnie w podwórzu znajdziesz okaz takiego jednokopytnego, którego przecie nie nazywamy koniem. Sprobuj pomyśleć jakie to zwierzę być może?

S Z A R A D A.

Pirwsze wspan, to zaimek często używany,
Z trudności swej odmiany w gramatyce znany.
Przed drugią, trzecią zdrzy i odważny nieraz
Jeśli ludzkiego prawa przekroczył był wyraz.
Wszystko, zbliża się ku nam nieznanym, a przecie,
Pragniemy, by nas dobrem darzył tu na świecie.

ŁAMIGŁÓWKA KROPKOWANA.

N...a dla Czytelników Wieczorów.



Wyszukać 21 wyrazów sześciogłoskowych, których litery oznaczone gwiazdkami złożą dobre życzenie. Znaczenie wyrazów: 1) Gwiazda stała. 2) Anioł stracony z niebios za dumę i upór. 3) Nazwa podziału ludzi według cech charakterystycznych. 4) Przeobrażenie motyla. 5) Świątynia mużmańska. 6) Miasto na wybrzeżu Koromandelskiem. 7) Miasto w Mołdawii. 8) Miasto w Galicyi. 9) Słynny kompozytor muzyczny. 10) Ptak krajowy brodzący. 11) Najwyższy szczyt gór kaukazkich. 12) Prawy dopływ Wisły. 13) Królewicz na półwyspie bałkańskim. 14) Nazwa jednego dnia w tygodniu. 15) Ptak domowy wodny. 16) Księstwo niemieckie nad Elbą. 17) Dopływ Warty. 18) Rzeczka wpadająca do Wisły. 19) Prawy dopływ Wisły. 20) Zwierzę drapieżne lub rzeka. 21) Księstwo na półwyspie Apenińskim.

ŁAMIGŁÓWKA W KRATKACH.

- A 1 W siedmiu rzędach oznaczonych literami
b . 2 ułożyć w każdym wyraz sześciogłosko-
c . . 3 wy, których litery oznaczone liczbami
d . . . 4 mi powinny złożyć nazwę cieni-
e 5 kiego, białego plasterka ciasta.
f 6 Znaczenie wyrazów: 1) Osada
g 7 w guberni Piotrkowskiej.

2) Ogólna nazwa ucznia Chrystusa. 3) Pochwa do strzał. 4) Stolica Aszantów. 5) Wódz rzymski, ojciec Romulusa Augustulusa. 6) Ptak z rodzaju grzebiących, żyje u nas po lasach. 7) Rycerz lub owad. Sylaby: Krzy—głu—o—ku—koł—a—ol—żak—szec—re—mas—czan—po—sztyn—stól—si—stes.

Skrzynka do listów.

Znaczenie przysłowia, zadanego na wypracowanie konkursowe: „wedle stawu grobla” uczy nas, Biała Lilijko, rozumnej przeczności, na której opiera się pomyślność pojedynczego człowieka

zarówno, jak byt rodziny i społeczeństwa. „Wedle stawu grobla” znaczy stosowanie wymagań swoich do możliwości, zrozumienie warunków położenia własnego, ograniczenie wydatków odpowiednio do dochodu. Choć młodą jesteś, nieraz słyszeć musiałaś, ile nie-szczęście życie nad stan sprowadzało i sprowadza ciągle, ilu ludzi o ruinę majątkową przyprawia, jakie ciężkie winy za sobą pociąga, otóż przyczyną tylu bezowocnych strat, tylu gorzkich łez, jest właśnie lekkomyślne zapominanie o prawdzie, że wedle stawu groblę budować należy, to jest wedle posiadanych środków życie urządzać wypada, że obowiązkiem naszym pamiętać oględnie o jutrze i nie marnować ani zdolności, ani zdrowia, ani pieniędzy, użyczonych nam od Boga na godne spełnienie zadania naszego na ziemi. Można by jeszcze dużo więcej o tem powiedzieć, ale pomnąc, że temat konkursowy dla was, nie zaś dla nas podany, musimy na tych kilku ograniczyć się słowach.

Żywemu Srebru jak niemniej Gospodarzowi z nad Wisły i malej Elusi dziękujemy za przesłane życzenia, zapewniając o szczerem naszym współczuciu w ich smutku.

Nie wątpimy o pilności w naukach Polnej Myszki i przekonani jesteśmy, że oczekiwana przez nią niecierpliwie cenzura same dobre stopnie mieścić musiała. Życzymy jej też przy Nowym roku, postępów i trwałego zamiłowania w pracy. Żądane numeru „Wieczorów” wysłaliśmy.

Otrzymałmśmy dwie sylabowe łamigłówki od I. F. i Ta. Sz. z Kielc. zwracamy jednak uwagę tego ostatniego na stawianie wyrazów w odpowiednich przypadkach.

Duża Pliszka niechże nie gniewa się na pokrewną sobie jaskółkę, że ją małą ośmieliła się nazwać, wszakże obiedwie należymy do gatunku drobnych ptaszek, które podobnie, jak miłe i grzeczne panienki, łagodnem usposobieniem odznaczać się zwykły. Przynaj sama czy z gniewem byłoby nam do twarzy? Jakżebyśmy wyglądały z roziskrzonymi oczyma, z najeżonymi piórkami, roz-twartym dziobkiem, niby dwa bijące się z sobą koguty? Nie! nam to nie przystoi; pochodzimy z rodu towarzyskich ptaków, które nawet z ludźmi zgodnie żyć umieją, tem więcej między sobą życzli-we stosunki zachować potrafią. Dla utrwalenia tej życzliwości go-tową jestem odtąd moją małą przyjaciółkę Dużą Pliszką zawsze nazywać.

Ołowi Marszałkowi głęboki pokłon zasylam z życzeniem, aby zdrowo i szczęśliwie wyrósł na wyższego jeszcze dygnitarza, a ma-łej Jadwini uczucia jej kochającego serduszka, podobnąż serdeczno-ścią odpłacam.

Lubo nie dowierzasz, Biała Lilijko, iżby jaskółka mogła odczu-wać straty podobne, jaką poniosłyście przez śmierć ukochanego dziadunia, jednakże ludzie nadto blisko mnie obcho-dzą, iżby im ich trosk i żalów nie dzieliła. Domyślam się, że pod wrażeniem świeżej żaloby święta wesoło przejść wam nie mogły, jakkolwiek staraniem waszem urządzona gwiazdka dla biednych dzieci, tak ofiarodawcom, jak obdarowanym niewątpliwie zrobiła przyjemność; mniejsza lub większa wartość rozdzielanych podarków nie stanowi w tem różni-cy, wszak pamiętacie, że grosz wdowi położony na szali dobrego uczynku przeważał hojny datek bogacza.

Żywe srebro może być pewną, że ani jej, ani maleńkiej Elusi zapomnieć nie mogłam, że z równą zawsze przyjemnością wieści od nich odbieram i że pod skrzydełkami memi bije serce, oddane szczerze i niezmiennie mlodym moim przyjaciółkom z „Wieczorów”

Dzierlatka, Henrysia i Manusia: prawdziwą zrobiły mi przy-jemność, przysyłając za mojem pośrednictwem dary dla ubogich dzieci, świadczenie tego rodzaju usług korespondentkom naszego pisma i niesienie w ich imieniu pomocy potrzebującym, będzie za-wsze najmilszem do spełnienia obowiązkiem waszej

Jaskółki.